

Dhonielle CLAYTON

#1

Tiffany D. JACKSON

Nic STONE

GDY

ZGASNA

ŚWIATŁA



# BLACKOUT

Angie THOMAS

Ashley WOODFOLK

Nicola YOON

beYA.

Tytuł oryginału: Blackout

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-8273-2

Blackout copyright © 2021 by Dhonielle Clayton

“The Long Walk” copyright © 2021 by Tiffany D. Jackson

“Mask Off” copyright © 2021 by Nic Stone

“Made to Fit” copyright © 2021 by Ashley Woodfolk

“All the Great Love Stories . . . and Dust” copyright © 2021 by Dhonielle Clayton

“No Sleep Till Brooklyn” copyright © 2021 by Angela Thomas

“Seymour and Grace” copyright © 2021 by Nicola Yoon

All rights reserved. No part of this book may be used or reproduced in any manner whatsoever without written permission except in the case of brief quotations embodied in critical articles and reviews.

Polish edition copyright © 2022 by Helion S.A.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/blagdy>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Do wszystkich czarnych dzieci:  
Wasze historie, Wasze radości, Wasze miłości  
i Wasze życia mają znaczenie.  
Jesteście światłem w ciemnościach.

# DŁUGI SPACER

*Akt 1.*

**Tiffany D. Jackson**

*Harlem, 17:12*

**TO KOSZMARNIE GORĄCY DZIEŃ.** Taki, w którym przytrafiają się nieszczęścia. W mieście milionów dusz dorównujący temperaturze poziom napięcia skłania ludzi do robienia głupich rzeczy. W takie dni nie zobaczylibyście mnie na zewnątrz. Siedziałabym skulona w swoim pokoju obok klimatyzatora i oglądała filmy w internecie z mrożoną herbatą i kanapką z szynką w dłoniach. Dlatego gdy drzwi wagonu otwierają się na gorący jak piekarnik peron i uderza mnie fala lepkiego powietrza, zaczynam mieć wątpliwości odnośnie do nowej pracy.

Wychodzę ze stacji i z zaskoczeniem zauważam, że na ulicy jest dość sporo ludzi. Logo Apollo Theater pobłyskuje w bezlitosnym słońcu. Gdyby to był mój plan filmowy, zakończylibyśmy pracę albo przerzucilibyśmy się na zdjęcia nocne. Beton topi mi podszwy tenisówek, gdy biegnę Sto Dwudziestą Piątą Ulicą. Z powodu opóźnienia metra jestem do tyłu o całe dziesięć minut.

Przewoźnicy nie respektują godzin odjazdów, zwłaszcza w trakcie upałów. I teraz się spóźnię. To znaczy będę na czas, ale to równoznaczne ze spóźnieniem! Tato zawsze mi powtarzał: *Jeśli jesteś przed czasem, jesteś na czas; jeśli jesteś na czas, spóźniłaś się*. Dlatego nigdy nie włączałam się po korytarzach między lekcjami i zawsze pierwsza zajmowałam swoje miejsce jeszcze przed dzwonkiem. Chyba dlatego wszyscy nauczyciele mnie lubili. Okazywałam im swój szacunek. Nawet pan Bishop, chociaż nikt tak nie znosił wufu jak ja.

Gdy wsiałam do windy na czwarte piętro, moja sukienka jest doszczętnie przemoczona. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie spociłam. Ale kazali mi dostarczyć dokumenty przed poniedziałkowym szkoleniem.

Tak, szkoleniem przed rozpoczęciem nowej pracy. Legalnej. Wasza dziewczyna jest nową asystentką w głównej korporacyjnej siedzibie Apollo. Mój doradca dał mi cynk o tym wakacie. Praca dla najsłynniejszego czarnego teatru w Nowym Jorku, w którym zaczynały takie gwiazdy, jak Michael Jackson, Mariah Carey czy Stevie Wonder, oswoi mnie z największymi celebrytami. Przyda się, zanim zostanę pełnoprawną reżyserką.

Płaca: 3500 dolarów za sześć tygodni.

Owszem, to w głębi Harlemu, z Brooklynu co najmniej godzina z przesiadką. Ale zapewni mi godziwy dystans od Bed-Stuy na całe wakacje.

Nie chcę już przebywać w tamtej okolicy. Nie od czasu... gdy to się stało. Gdy „my” staliśmy się „nim i nią”, a potem tylko „mną”.

Zgodnie z e-mailem potwierdzającym mam być o siedemnastej piętnaście, a ponieważ dziś po raz pierwszy zobaczą mnie moi współpracownicy, założyłam nową żółtoniebieską sukienkę babydoll kupioną dzięki funduszom absolwenckim. I wiecie co? Kupię

sobie całą nową garderobę przed rozpoczęciem studiów, taką, żeby pasowała do mojego nowego życia po skończeniu szkoły średniej. Może nawet zacznę się przedstawiać jako Tam zamiast Tammi. *Kto miałby mnie zdemaskować?* Nikt nie wybiera się ze mną do Clark Atlanta. Będę tam... sama.

*Nie tak miało być*, myślę, podchodząc do recepcji. „My” mieliśmy inne plany. Złożone obietnice. Ale nie istnieje już coś takiego jak „my” i najwyższy czas nauczyć się nowego życia bez niego.

— Witaj, słonko. — Starsza czarnoskóra kobieta uśmiecha się, a z jej brwi skapują krople potu. — W czym mogę pomóc?

Prostuję się i otrząsam z poprzednich myśli.

— Dzień dobry, nazywam się Tam Wright. Jestem nową stażystką i miałam dostarczyć dokumenty.

— Jasne. Pozwól, że sprawdzę, czy Maureen jest w pobliżu, żeby je podpisać. Gorąco jak diabli, prawda?

Pozbawiona okien recepcja ocieka od wilgoci. Ukradkiem zerkam na przemoczonych mężczyzn i kobiety za biurkami.

— Oj, tak.

Odwraca się i bierze z biurka teczkę.

— Słyszałam, że w południe było około 38 stopni i na razie upał ani trochę nie zelżał.

Zbieram warkocze w wysoki kucyk i wachluję twarz.

— Zawsze jest tu tak gorąco? — Staram się nie panikować, ale w głowie mam myśli o tych moich nielicznych sukienkach i bluzkach, w których dałoby się tu wytrzymać w lato. Muszę wyglądać idealnie. Wszystko musi być idealne.

Kobieta uśmiecha się ze współczuciem.

— Przykro mi, kochana, ale system cały dzień wycina nam numery. Myślę, że...

— Uff! Kurna. Sorry za spóźnienie! — Wzdrygam się i sztywnieję, słysząc ten głos za swoimi plecami. Robi mi się zimno, nawet w tym piekarniku. Zamykam oczy i zaczynam się modlić.

*Błagam, niech to nie będzie on. Błagam cię, Boże. Błagam. Ktokolwiek, byle nie on.*

— Witaj, słonko. W czym mogę pomóc? — pyta kobieta.

Człapie jak zbliżający się zabójca. Zawsze nosi tenisówki, które są albo za duże, albo niezawiązane, więc podeszwy kłapią o podłogę, przybijając jej piątkę przy każdym kroku.

— Hej! Witam serdecznie, jestem Kareem... — mówi, lecz milknie, po czym wykrzykuje: — Tammi?

*Cholera.*

W końcu otwieram oczy i odwracam się twarzą do niego. Ta brązowa skóra. Te piękne oczy. Nie, żebym go nie widywała. Jesteśmy sąsiadami i chodziliśmy do tej samej szkoły, Stacey Abrams Preparatory na Upper West Side. Ale od czterech miesięcy nie staliśmy tak blisko siebie — na tyle, by czuć jego zapach, a naprawdę wolałabym, żeby nie pachniał tak cholernie dobrze.

— Co ty tutaj robisz? — pytam. Wychodzi to dość agresywnie, ale nie bez powodu.

Przewraca oczami i odwraca się do recepcjonistki, jakbym była duchem.

— Przepraszam za to. Przyszedłem przynieść dokumenty w związku ze stażem...

*Stażem? Nie, nie, nie... nie możemy pracować w tym samym miejscu. Nie ma mowy!*

— Chwila, oboje przynieśliście swoje dokumenty? — pyta kobieta.

— Nie — odpowiadamy unisono i spoglądamy na siebie gniewnie.

— To znaczy tak — poprawiamy się, znowu unisono.

W poczuciu upokorzenia odsuwam się o krok, żeby się od niego oddalić, i chrząkam.

— Chodziło mi o to, że *ja* jestem tu z dokumentami. Nie mam pojęcia, po co *on* tu przyszedł.

— Wygląda na to, że jestem tu z tego samego powodu — szczerzy się.

Kobieta spogląda to na mnie, to na niego, po czym nerwowo otwiera teczkę, którą trzyma w dłoniach, i zaczyna przeglądać jakieś papiery. Potem skupia się na ekranie komputera i czyta coś zawzięcie, a ja zerkam co chwilę na niego. Ma na sobie swoje ulubione dzinsy (nawet w taki upał), czarną koszulkę polo i nowe jordany. Na które przypuszczalnie namówiła go *ona*. Trochę tęsknię za jego schodzonymi czerwonymi conversami i kolekcją T-shirtów z superbohaterami.

*Przestań, Tammi! Nie tęsknisz za niczym, co związane z tym tumanem.*

— Hmm, chwileczkę — oznajmia recepcjonistka drżącym głosem. — Usiądźcie sobie. Zaraz wrócę z Maureen.

Kareem i ja wymieniamy podejrzliwe spojrzenia i opornie ruszamy w stronę krzeseł. Mam nadzieję, że Maureen szybko po mnie przyjdzie... żebyśmy mogła odejść od tego dupka.

Siadam po jednej stronie drzwi wejściowych, a Kareem siada po drugiej stronie i zaczyna czegoś szukać.

*Trzymaj fason, Tammi.*

Szybko sprawdzam wygląd, żeby upewnić się, że całe to gorąco nie roztopiło mojej samokontroli. Nie chcę już Kareema, ale równie mocno nie chcę, żeby widział mnie w rozsypcie.

— O ja cię — mruczy do siebie Kareem, wpatrując się w ścianę, więc podążam za jego wzrokiem.

— O ja cię — wzdycham. Ściany w poczekalni są oblepione starymi plakatami z koncertów w Apollo. James Brown, Ray Charles, Ella Fitzgerald, Billie Holiday. Moi dziadkowie dorastali z ich muzyką. Nie zauważyłam tego wcześniej i nagle mnie to uderza, że jestem w tych samych murach, w których przebywały te legendy. Ta



myśl jest tak przyjemna, że zapominam o palancie w drugim końcu pomieszczenia. Czy tak będę się czuła w studiach telewizyjnych i na planach filmowych?

Kareem nadal czegoś szuka, sprawdzając każdą możliwą kieszeń. Robi tak, gdy jest zirytowany lub spóźniony, czyli prawie zawsze. Nie zdążyłby nigdy do szkoły, gdybym *ja* nie ustawiła mu kilku budzików w telefonie. Ciekawe, czy nadal je ma.

Kareem uderza się dłonią w czoło i klnie pod nosem. Chyba czegoś zapomniał...

*Przestań! Przestań o nim myśleć. On o tobie nie myśli.*

Co on tu w ogóle robi? Pan Taylor, nasz doradca zawodowy, poinformował mnie o tym wakacie, ale stwierdził, że jest tylko jedno miejsce dla ucznia zainteresowanego tajnikami mediów i rozrywki. Kareem stwierdził, że chce uczyć się nudnej księgowości, że umieć „liczyć swoje siano”. No tak, siano! Napalił się na te 3500 dolarów.

Cóż, tym gorzej dla niego, bo to ja tu rozdaję karty. Do CV i listu motywacyjnego dołączyłam nawet własny film (nakręcony i zmontowany w całości na telefonie). Ten staż jest mój. Poza tym... potrzebuję go. Będzie to kolejny krok na drodze do gwiazdy na hollywoodzkiej Alei Sław. Mama i tato nadal nie są do końca przekonani do moich planów. Tylko Kareem w to wierzył. A teraz... pewnie go to nie obchodzi. Dlatego nie pozwolę, by mi to odebrał. Niech lepiej od razu spada stąd na metro do Brooklynu.

Wyciągam telefon i próbuję znaleźć coś, na czym mogłabym się skupić, żeby nie zerkać na Kareema. Nie zmienił się zbyt wiele. Nadal jest cholernie wysoki z tymi swoimi tyczkowatymi nogami i rękami i nadal ma śliczne oczy i grube wargi. Zdaje się trochę bardziej opalony. Może chodził na plażę... z nią. Na tę myśl robi mi się niedobrze. Wyobrażam sobie, jak jadą do Far Rockaway, ona w skąpym bikini, a on z nagim torsem...

— Hej, masz ładowarkę?

Dopiero po chwili orientuję się, że mówi do mnie.

— Co? — wykrztuszam.

— Ładowarkę — powtarza powoli, jakbym nie mówiła w tym języku. — Zapomniałem naładować telefon i zostało mi jakieś pięć procent.

Mrugam ze szczerym niedowierzaniem.

— To... to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Marszczy brwi.

— Co przez to rozumiesz?

Jak zwykle nie ma pojęcia.

— Od miesięcy się do mnie nie odzywasz i w pierwszych słowach, jakie do mnie kierujesz, o coś mnie prosisz.

Początkowo go zatyka. Szybko jednak przymruża oczy i odchyła się na krześle, przygryzając wargę.

— Nieważne — odparowuje i zaplata ręce na piersi. — Nie wiem, dlaczego w ogóle pytałem. Przecież ty myślisz tylko o sobie.

— Co to niby miało znaczyć?

— Nic — mruczy.

Zerkam w stronę recepcjonistki, która zdążyła już wrócić za biurko, ale odwraca oczy i udaje, że nie słucha. Jego telefon miałby znacznie więcej procent, gdyby nie używał go jako głośnika didżejskiego. Gdybym miała ładowarkę, i tak bym mu jej nie dała. Nawet gdyby był ostatnim chłopakiem na ziemi. Jestem małośkowa i taka będę.

Znowu przygryza wargę i zapada się na krześle jeszcze niżej.

— Kurna, zachowujesz się, jakbym chciał pożyczyć stówkę. Ale z ciebie żyła.

— Skończyłeś? Czy zamierzasz coś jeszcze wyburczeć tym swoim stęchłym oddechem?

Kareem przymruża powieki, jakby był gotów mnie zabić.

— Hej!

Oboje stajemy na równe nogi na śpiewny głos kobiety, która obchodzi recepcję i kieruje się prosto do nas.

— Witam! Jestem Maureen. Ty musisz być Tammi Wright. A ty to Kareem Murphy?

— Tak — potwierdzamy unisono. Nienawidzę się za to, jak bardzo podoba mi się współbrzmienie naszych głosów.

*Wyrzuć to z głowy, dziewczyno! Nie ma żadnych „naszych”. To, co było nasze, umarło. Na zawsze.*

Kobieta wymienia z nami uścisk dłoni, po czym wzdycha.

— Cóż, przykro mi to mówić, ale żałuję, że nie spotykamy się na lepszych warunkach.

— Co pani przez to rozumie? — pytamy jednocześnie. Z trudem powstrzymuję jęk.

— To dość żenujące. Doszło do małego biurowego błędu. Wygląda na to, że ofertę stażu wysłano do was obojga. Niestety jednak mamy budżet tylko na jedno miejsce.

Żołądek mi się zaciska, tężeje szczęka.

Kareem krzyżuje ramiona i ściąga brwi w głębokie „V”.

— Co to oznacza w praktyce?

Kobieta widocznie przełyka ślinę.

— Że tylko jedno z was dostanie to miejsce.

Zerkamy na siebie z Kareemem i nagle *klik*, w pomieszczeniu robi się czarno.

Otak.

W jednej chwili patrzę na te piękne brązowe oczy, za którymi tęsknię, a w następnej... nie ma nic. Żadnego ŚCIEMNIENIA, ROZPUSZCZENIA czy CIĘCIA przed następnym ujęciem. Film po prostu się kończy.

Zdezorientowana chwiję się na nogach i słucham wyłaniających się z cieni głosów.

— Co, u licha?

— Co się stało?

— Zachować spokój!

W atmosferze narastającej paniki dobiegają mnie odgłosy kroków i szurania krzeseł. Może ktoś przypadkiem nacisnął wyłącznik światła. Ale w takim razie światło zostałoby już włączone. Coś jest nie tak. Gdzie Kareem?

— Hej! Co się dzieje? — wykrzykuję i macham rękami przed sobą, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Piszczę, gdy coś mocno mnie trąca.

— Tammi? — Jego głos brzmi bardzo odległe w ogólnym chaosie. „Kareem” — mam ochotę odkrzyknąć, ale głos więźni mi w gardle.

Rozbłyskują kolejne latarki telefonów niczym mnóstwo rozproszonych światła punktowych. Potem słychać kolejny *klik*. Robi się jasno, ale nie tak jak wcześniej. Lamy oświetlenia awaryjnego są rozmieszczone co około trzy metry, więc większość pomieszczenia nadal tonie w ciemnościach. Po drugiej stronie poczekalni Kareem odwraca się i trafia na moje spojrzenie. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że wygląda, jakby poczuł ulgę. Otwierają się drzwi do pomieszczenia i do środka wpada odrobina światła z niewielkich wąskich okien wychodzących na ceglany budynek.

Po pięciu minutach chaosu Maureen wykrzykuje:

— Uwaga, wszyscy, wychodzimy!

— Na pewno? — pyta recepcjonistka.

— To stary budynek. Nie wiem, jak długo wytrzyma generator. Wszyscy na zewnątrz! Użyjcie latarek i zejście schodami.

Kareem i ja bez słowa ruszamy za tłumem przez drzwi na korytarz w stronę świecącego na czerwono znaku „wyjście”.

Na schodach spotykamy kolejnych ludzi. Cały budynek wychodzi tą samą drogą. Serce zaczyna mi szybciej bić.

*Może to coś w rodzaju ćwiczeń przeciwpożarowych lub ktoś przypalił sobie lunch.*

Ulice na zewnątrz są zatłoczone od osób wylewających się z każdego budynku. Stoją na chodnikach z nosami w telefonach i zdezorientowanymi wyrazami twarzy. Upał, wilgotność, spanikowane głosy i oślepiające słońce — to wszystko sprawia, że z emocji brakuje mi tchu. Coś się stało.

— Co się dzieje? — pytam mężczyznę na skrzyżowaniu niedaleko stacji metra. — To jakiś... atak czy coś w tym rodzaju?

Już samo to pytanie wzbudza we mnie torsje.

— Doszło do awarii zasilania — odpowiada mężczyzna, skanując jakiś artykuł w telefonie. — W całym mieście.

— Co? W całym mieście? — dopytuje Kareem. Nie zauważyłam, że jest za mną.

Wyławiam telefon i dzwonię do mamy. Odbiera po drugim sygnale.

— Wszystko w porządku? — pyta. W tle słyszę kłótnię starszego brata i siostry.

— Tak, w porządku. Wyłączyli prąd.

— Wiem, u nas też. Gdzie jesteś?

— Przed budynkiem Apollo... z Kareemem.

Wzdycha.

— On tam jest... z tobą?

— Tak. Ekhm, wyjaśnię ci później.

— Łaaał. Okej. Wracaj najszybciej jak możesz.

— Tak zrobię. Do zobaczenia wkrótce.

— Uważaj na siebie, Tammi.

Piszę do taty, że nic mi nie jest. Jego autobus przypuszczalnie utknął gdzieś w tej chwili w korku. Nie mam pojęcia, gdzie jest mój młodszy brat Tremaine. Pewnie cyka fotki. Przynajmniej wiem, że potrafi o siebie zadbać. Kolejni ludzie wysypują się na ulice. Moja

rodzina jest bezpieczna, a ja? Nie wygląda, jakby ktokolwiek miał pojęcie o tym, co się stało i dlaczego nie ma prądu. Miasto być może zostało zaatakowane i nikt się nawet o tym nie dowie!

— Hej — mówi Kareem. Niemal zapomniałam, że stał obok mnie. — Ehm, pożyczysz mi telefon?

— Dlaczego? — odwarkuję.

— Mój już prawie padł, a potrzebuję zadzwonić do mamy.

Uderzam lekko telefonem w jego wyciągniętą dłoń.

— Proszę.

Potrząsa głową i wybiera numer. Nie musi, bo wciąż mam jego matkę w kontaktach.

— Nie, mamo. To ja — mówi. — Wiem. Wiem, to długa historia. W każdym razie jest u was prąd? Nie? Do licha, tu też nie ma. Okej, już się zbieram. Tak, wiem, postaram się. Dobrze? Do zobaczenia.

Rozłącza się i oddaje mi telefon.

— Dzięki za użyczenie darmowych minut.

Mam ochotę pięściami wytluc mu z głowy ten sarkazm, ale uważam Maureen.

— O, hej! Pani Maureen! — Stoi przy krawężniku, więc oboje przeciskamy się przez tłum w jej stronę.

— Słuchajcie, przykro mi, ale to nie najlepszy moment, muszę wszystkich policzyć — mówi, nie spoglądając na nas. — Powinnicie wrócić do domu. Nie wiem, jak długo to potrwa. Zobaczmy się w poniedziałek, okej?

— Ale — zaczęłam — nie powiedziała nam pani, kto dostanie staż. Kto z nas ma przyjść w poniedziałek?

— To naprawdę nie jest na to czas — powtarza z irytacją. — Przykro mi, ale w tej chwili muszę sprawdzić, czy wszyscy wyszli. Takie są procedury. Gdy wróci zasilanie, skontaktuję się z wami, okej? Uważajcie na siebie!

Odchodzi szybkim krokiem, zanim zdążyłabym ją zatrzymać.

— Nie do wiary — wykrzykuję, wyrzucając ręce w górę. — Mamy czekać cały weekend?

— Myślę, że w tej chwili mamy większe zmartwienia — stwierdza Kareem i wyciąga dłoń. — Pożycz mi jeszcze raz telefon.

— Po co tym razem?

— Hej, jesteśmy w awaryjnej sytuacji, a ty robisz *takie* problemy?

— Ech! Dobra! Ale nie zużyj mi całej baterii.

Sprawdza w swoim telefonie numer, który musi wybrać.

— Hejo, Twig, co tam, brachu? Nie, dzwonię z telefonu... znajomej. Mój jest padnięty.

Twig jest jednym z naszych sąsiadów. Wysoki, szczupły i tyczkowaty jak młode drzewko. Po co Kareem do niego dzwoni? Co ma mu tak ważnego do przekazania, że warto na to marnować baterię?

— Tak, nie ma prądu w całym cholernym mieście. Popieprzone — stwierdza. — Ale co tam dziś wieczorem? Tak? Serio? No jasne. To do zobaczenia.

Oddaje mi telefon i wyciąga portfel.

— Ile masz gotówki?

— Czemu?

Wzdycha, machając w stronę stacji metra.

— Skoro nie ma prądu, nie ma też metra. Musimy złapać tak-sówkę.

Do licha, ma rację. Metro stanie, a ja z całą pewnością nie chcę utknąć w wagonie w ciemnym tunelu.

Przeliczył pieniądze w swoim portfelu.

— Mam dwie dychy. A ty?

Mam tylko pięć dolarów.

— To nie starczy na powrót do domu — mówi. — Światła nie działają, więc mielibyśmy szczęście, gdybyśmy przejechali za to dziesięć przecznic.

— Hm, po drugiej stronie ulicy jest bankomat — oferuję. — Mogę skorzystać z karty.

— Brak prądu oznacza, że bankomaty też nie działają.

— Cholera — mruczę. — To co zrobimy?

Nie wiem, dlaczego go spytałam. Chyba dlatego, że nie mam tu żadnego innego znajomego i staram się zachować spokój mimo narastającej paniki w klatce piersiowej.

Sprawdza oznaczenia ulic i bierze głęboki wdech.

— No dobrze. Zróbmy to.

I rusza, a ja za nim.

— Gdzie idziesz?

— Do domu. A gdzie miałbym iść?

— Ale jak?

Wzrusza ramionami.

— Na piechotę.

— Na piechotę? Stąd?

— Masz lepszy pomysł?

— Ale, hm, to strasznie daleko! Zajmie z parę dni.

Jęczy<sup>1</sup>.

— Przestań się wygłupiać. Przecież nie jesteśmy nawet na Bronxie. Patrzą na oznaczenie ulicy. On chce wrócić ze Sto Dwudziestej Piątej Ulicy na Brooklyn? Równie dobrze moglibyśmy być na Bronxie.

— Dobrze — odpowiadam z machnięciem ręki. — To na razie.

— O co ci chodzi? Idziesz ze mną.

— Phi! Nie w tym wcieleniu!

---

<sup>1</sup> Według map Google'a piesza trasa z Apollo Theater na Brooklyn ma długość 11 mil i zajmuje 3 godziny 56 minut — *przyp. tłum.*



— Słuchaj, nie wiemy, jak długo to potrwa, ale nie będę czekał, żeby się przekonać. Jest po siedemnastej trzydzieści. Nie mam zamiaru pozwolić, by zastał mnie tu zmrok. Ludzie rzucili się na apki taksówkowe, ty nie masz hajsu, a ja nie mam telefonu. Musimy więc trzymać się razem, aż trafimy do domów. Wtedy będziesz mogła wrócić do nienawidzenia mnie czy co tam chcesz.

*Hej, nigdy nie powiedziałam, że go nienawidzę! A przynajmniej nie na głos.*

Rozejrzałam się i rozważyłam swoje opcje. Może prąd wyłączyli tylko na chwilę. Może potrwa to jeszcze parę minut, no, maks dwie godziny. Ale co, jeśli Kareem ma rację? Co, jeśli naprawa potrwa całą noc, a my tu utkniemy?

— Pójdziemy bulwarem Fredericka Douglassa w stronę Central Park West — wyjaśnia.

Pracownicy metra pieczętują taśmą wejście. Ciekawe, ile osób utknęło tam w ciemnościach... ze szczurami? Na samą myśl zaczynają drżeć mi dłonie. Są jednak gorsze sytuacje... a zwłaszcza jedna, której desperacko próbuję uniknąć.

— Idziesz czy nie? — pyta gniewnie.

Wzdycham do zachodzącego słońca i ruszam w stronę Kareema.

# BEZ MASKI

**Nic Stone**

*Wagon metra, 17:26*

**TREMAINE WRIGHT NIE JEST** fanem zamkniętych przestrzeni. Fakt, o którym *ja*, Jacorey „JJ” Harding junior, wiem tylko dlatego, że sześć lat temu w szóstej klasie grupa moich niezbyt grzecznych znajomych urządziła w szatni pościg za Tremainem i wcisnęła go do maleńkiego schowka dozorca.

Siedział tam, walił w drzwi i krzychał:

— Wypuście mnie, ludzie! To nie jest śmieszne!

I chociaż to nie ja blokowałem drzwi, żeby się nie otwały, wiedziałem, że wygłoszone nieśmiało słowa: „No weźcie, chłopaki. Wypuśćmy gościa” nie miały wystarczającej siły przebicia, żebym został potraktowany poważnie... Nie byłem z tego dumny, ale co tam.

Zadzwonił dzwonek i wszyscy się urwaliśmy.

Nigdy więcej nie pomyślałbym o tym zdarzeniu, gdyby Tremaine pokazał się kilka minut później na następnej lekcji, tak jak się spodziewałem. *Nie ma ran, nie ma winy*, uważało moje (głupie) ja.

Ale on nie przyszedł.

Zegar tykał, a jego miejsce nadal ziało pustką. Pamiętam, że rozglądałem się po klasie w zdumieniu, zastanawiając się, czy ktokolwiek *jeszcze* zauważył, że spóźnienie ziomka przeradza się w całkowitą nieobecność. Zacząłem się denerwować. Co, jeśli coś mu się stało? Co, jeśli, co gorsza (według mojego dwunastoletniego umysłu), doniósł na grupę i wskazał mnie jako winowajcę? Przypuszczalnie sumienie dręczyło mnie za to, że *po prawdzie* w ogóle chłopakowi nie pomogłem, ale byłem wtedy w szoku, to próbuję przekazać. Czułem krople potu zbierające się wzdłuż linii włosów i spływające spod pach, pod którymi wkrótce miały mi wyrosnąć włosy. Co, jeśli wpadnę w tarapaty? Jeśli tak się stanie, stary mnie zabije. Tak zapowiedział na początku roku szkolnego.

W połowie lekcji nie mogłem już tego dłużej znieść. Spytałem, czy mogę wyjść do łazienki. Musiałem wykrzesać całą siłę woli, żeby nie *pobiec* do szatni. Droga obok toalet i prysznicu do tej skrytki dozorczy — to było najdłuższe piętnaście sekund mojego życia, przysięgam na Boga. Z drugiej strony nie dobiegał żaden odgłos. W odgrywającym się w mojej głowie horrorze oznaczało to, że koleś (1) wyszedł i w tej chwili przypuszczalnie na nas donosi lub (2) zszedł i już nie wróci... czyli wykitował. Jest martwy jak głąz, czy jak się to tam mówi.

To *ja* wrzasnąłem, gdy otworzyłem drzwi i znalazłem go siedzącego między wieżą z gigantycznych rolek papieru toaletowego a wielkim żółtym wiadrzem na kółkach — pełnym wody w kolorze smarzków gargulca.

Najdziwniejsze było to, że nawet nie podniósł wzroku. Wpatrywał się przed siebie w coś, co musiało być jakąś *niezmierną pustką*, czy coś.

— Eee... Tremaine? — Pochyliłem się i położyłem dłoń na jego ramieniu. — Tremaine! — Potrząsnąłem nim. Wyrwał się z transu i odwrócił do mnie.

Wtedy dopiero wrzasnął. I przewrócił wieżę z papieru toaletowego. A potem zaczął ciężko dyszeć.

Obejrzałem się za siebie. Przeżażony.

— Joł, wszystko w porzo, stary? — Świetnie, ziomek żył, ale gdyby przyłapano nas *tutaj* w tej chwili, gdy powinniśmy być w klasie, nie skończyłoby się to dobrze. — My, hmm... Lepiej jeśli wyjdziemy z tej komórki...

Spojrzał na mnie w taki dziwny sposób... jakby zdezorientowany, ale też z odrobiną smutku i cieniem zaskoczenia? Trudno to opisać.

Przytaknął.

— Niespecjalnie lubię zamknięte przestrzenie — powiedział. Absolutnie beznamiętnie.

— Spoko. Wyjdźmy więc. — Wstałem i wyciągnąłem dłoń. Przyjął ją i wstał.

Spojrzał na rozwalone rolki papieru.

— Powinniśmy, eee...?

— Nie, nie — zaprzeczyłem. — Nie będą wiedzieli, że to my. Po prostu chodźmy.

Przytaknął i w milczeniu wyszliśmy z szatni, ale gdy minęliśmy linię połowy boiska na sali gimnastycznej, spytał:

— Ekhm... moglibyśmy nikomu o tym nie mówić?

— Hę?

— O tej całej... *klaustrofobii*. Wiem, że lubicie mnie dręczyć czy coś, ale wołałbym nie dawać im dodatkowego powodu.

— Oj. — Miało to sens. — Tak, pewnie. — Wtedy poczułem zalewające mnie poczucie winy, że nie zrobiłem czegoś więcej.

Gardło zaczęło mnie od tego swędzieć. — Wiesz, eee... sorry, że ich nie powstrzymałem. — (Jednocześnie jak ostatni dupek liczyłem na to, że koleś nie powie nikomu, że usłyszał ode mnie coś takiego. Okropność).

— Słyszałem, jak mówiłeś im, żeby mnie zostawili — przyznał. Co wstrząsnęło mną jak cholera, muszę przyznać.

— Uhm.

— Czy mogłeś zrobić coś więcej? Pewnie. — Spojrzał na mnie. — Ale przynajmniej wróciłeś, żeby mnie wyciągnąć. — Wtedy się uśmiechnął. Mógłbym przysiąc, że odsłonił cały aparat na zębach. Zielony i niebieski na przemian. Szybko odwróciłem wzrok, bo od tego jego uśmiechu robiło mi się gorąco na twarzy.

Czułem się niekomfortowo, ale nie potrafiłem rozgryźć, dlaczego.

— Doceniam to — dodał.

— Spoko, stary. Nie wspomnę o tym. I, ehm... postaram się być bardziej stanowczy, jeśli znowu będą cię nękać.

— Byłoby miło — stwierdził.

I tyle. Rozdzieliliśmy się przed dyżurką przy wejściu, bo on musiał pobrać kartę spóźnienia, a ja poszedłem prosto do klasy ze swoją kartą wyjścia do łazienki.

Gdy w końcu dotarł do klasy, w żaden sposób nie zwrócił na mnie uwagi. Ani ja na niego. Zero zainteresowania.

Dotrzymałem słowa i powiedziałem chłopakom, żeby się odwalili. I posłuchali. Ale przez następne sześć lat nie zamieniłem z Tremainem praktycznie ani słowa (a przynajmniej nie w taki sposób, żeby usłyszał).

Zero zainteresowania.

Ale teraz? W tym ciemnym jak noc wagonie? Tremain Wright jest jedyną osobą, którą widzę.

Minęły nieco ponad cztery minuty od chwili, gdy zgasły światła i wagon powoli się zatrzymał. Siedzimy w linii A jadącej do Brooklynu. Wsiadłem na swoim typowym przystanku na Sto Czterdziestej Piątej, dosłownie trzy przecznice od naszego mieszkania. A na przystanku na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy drzwi się otwarły i wsiadł Tremaine.

W pierwszej chwili pomyślałem: *Co, u licha, Tremaine Wright robi w tej okolicy, gdy nie ma szkoły?* Wtedy zauważyłem, że ma przy sobie swój nieodłączny aparat, więc uznałem, że może robi jakieś zdjęcia czy coś. Ziomek od ósmej klasy należy do redakcji rocznika szkolnego i zawsze ma przy sobie jakiś aparat.

Wagon jest pełny, ale nieprzepełniony. Wszystkie miejsca siedzące są zajęte i gdzieś tam stoją ludzie: kobieta z wózkiem, hipstersko wyglądający brodaty koleś z rowerem, trzy dziewczynki w strojach baletowych, co najwyżej trzynastoletnie, dwóch koleś, którzy *według mnie* są parą, wnioskując z tego, jak blisko siebie stoją.

Mimo braku tłoku jest jednak wystarczająco dużo ludzi, żeby ich jednoczesne wstrzymanie oddechu w chwili, gdy zgasło światło, wzbudziło we mnie wrażenie, że nagle w całym wszechświecie skończyło się powietrze.

Po kilku sekundach w głośnikach odezwał się trzeszczący znużony głos konduktora, który powiedział coś o „problemach mechanicznych”.

Wstrzymane oddechy przerodziły się w zbiorowe sapanie. Szepkanie. Narzekanie. Przygryzanie warg.

Potem zaczęły zapalać się latarki w telefonach.

Początkowo klimat był złowieszczy jak diabli, ale po kilku minutach, gdy wzrok przywykł do półmroku, trochę się rozluźniłem. Na tyle, żeby odważyć się spojrzeć w stronę Tremaine’a.

Zarówno ludzie siedzący obok niego, jak i trójka gości naprzeciwko mieli załączone latarki telefonów, więc widziałem go dość wyraźnie, mimo że znajdował się w cieniu. Gdy wsiadł, starałem się nie myśleć o tym, czy *on* zauważył *mnie* — więc oczywiście myślałem *wyłącznie* o tym — ale w tej chwili opierał głowę o plakat z napisem: „**Jeśli coś widzisz, reaguj**”. I miał zamknięte oczy.

Można by uznać, że wygląda na diabelnie wyluzowanego, ale co kilka sekund — owszem, przyglądam się wystarczająco długo, żeby to zauważyć — ściąga usta jak do gwizdnięcia, a potem je zamyka.

Zerkam, czy jego tors się unosi, i wtedy przypomina mi się chwila, którą musiałem zagrzebać strasznie głęboko, żeby nikt jej nie znalazł, włącznie ze mną.

Zaczyna się ode mnie. Zeszły rok. Jestem jedynym uczniem drugiej klasy, który trafił do szkolnej drużyny, i noszę ten honor na piersi jak niewidzialny symbol Supermana na piersi. Jestem *nie-naruszalny*. A przynajmniej do czwartego meczu, gdy zaczynam ładny dwutakt, zostaję sfaulowany i tragicznie krzywo spadam na prawą kostkę. Poważne zwichnięcie. Nigdy wcześniej nie czułem takiego bólu.

Siedzę na parkiecie z zaciśniętymi powiekami i przyciskam kolano do piersi. Jestem diabelnie przerażony, ale nie chcę tego okazać, bo według każdego trenera, jakiego kiedykolwiek miałem, *prawdziwy mężczyzna nigdy nie okazuje strachu*. Trenerka mówi do mnie spokojnie:

— Wdech przez nos... *mmhmm*, o tak. Teraz ściągnij wargi i wydech przez usta. No właśnie. — Gdy tylko to mówi, pojawia się przy mnie dwóch ziomków ze starszej klasy, żeby pomóc mi wstać i zawlec moje przedziurawione ego do szatni. Gdy staję na nogi, rzucam okiem na trybuny. I na czyj wzrok trafiam?

Tremaine’a Wrighta.

Stoi na trybunach kilka rzędów od parkietu. Z wielkim aparatem w dłoni. Wpatruje się we mnie. Totalnie... zatroskany.

W wagonie znowu odzywa się głośnik:

— Słuchajcie, ludziska, okazuje się, że w całym mieście nie ma prądu. Niewiele możemy z tym zrobić, bo wszystkie linie padły. Siedzcie cierpliwie, a ja będę was na bieżąco informował o postępie sytuacji.

Kolejna runda szeptów, narzekania, przygryzania warg.

W końcu wszyscy się uspokajają.

Nie licząc Tremaine'a. W tej chwili jego klatka piersiowa bije rekordy rozszerzalności. Ziomek, jak przypuszczam, bierze głębokie oddechy.

I stopa podskakuje mu jak szalona. Jak pad konsoli w trakcie szaleńczo intensywnego poziomu w Call of Duty. Nie wiedziałem, że noga *jest w stanie* tak szybko drgać.

Wzrok zsuwa się na jego stopy — zaznaczam, że bez mojego wyraźnego pozwolenia — i gdy trafiam na jego absolutnie nieskalane biało-biało-białe Jordany Retro 1s (*tak bardzo* nieskalane, że praktycznie świecą w tym ciemnym wagonie), odwracam wzrok.

Szybki przegląd sytuacji: dwóch gości siedzi teraz na podłodze i ogląda coś na telefonie, niemal stykając się głowami (muszą być parą). Trzy baletnice kulą się razem i wyglądają, jakby żałowały, że nie ma tu ich rodziców. Koleś z rowerem włączył czołówkę i skierował ją w sufit. Wygląda, jakby był dumny, że wpadł na ten pomysł.

Na drugim końcu wagonu dziecko w wózku zaczyna płakać, więc odwracam głowę w tamtą stronę (mimo że nikt inny tego nie robi — #NowyJork). Mama położyła na wierzchu wózka telefon latarką do góry, więc widzę, jak pochyla się i bierze maleńką istotkę na ręce. Następnie błyskawicznym ruchem wyciąga pierś i dzieciak dostaje swoja porcję zarcia.



Uśmiecham się. Przynajmniej *jednej* osobie w tym wagonie nie będzie burczało w brzuchu. I szczerze mówiąc, podziwiam tę mamę za to, że się nie zakrywa. Wiadomo, jest ciemno jak diabli i nikt *tak naprawdę* nie patrzy, ale i tak. Osobiście sądzę, że matki *nie powinny* zakrywać dziecka, gdy je karmią.

Nie żebym miał powiedzieć coś takiego na głos.

Potrząsam głową.

Ze *wszystkich* moich przejazdów akurat teraz musieli odciąć prąd. Nie dość, że utknąłem na jakiś czas w tej cholernej puszczy z Tremaine'em, to jeszcze dziś miał być mój nowy start. Koniec sezonu koszykarskiego był trudny — na chwilę straciłem impet — ale przez pierwszy tydzień letniego obozu treningowego miałem formę życia.

Koledzy z drużyny mi każą. Czuję się jak nowy ja. Co więcej, kuzynka Langstona — ma na imię Kayla i przyjechała gdzieś z dalekiego południa — zobaczyła moje zdjęcie z Langiem i podobno jej się spodobało. Zazwyczaj nawet w myślach nie wykraczam w kontaktach z członkami rodziny kolegów z drużyny poza określony poziom (czyli mówienie „Co tam?”, gdy mijam ich w korytarzu). Ale Lang sam mi powiedział, że jej się spodobałem. A ona *jest* śliczna.

Więc.

Gdy dostałem wiadomość z pytaniem, czy wpadnę z nią poskakać na party w Brooklynie, zgodziłem się. Powiedziałem Langowi, że zjawię się i pomogę mu wybrać stylówkę czy coś. Uznałem też, że jeśli wybiorę się odpowiednio wcześniej, zdążę wpaść do dziadka (mieszkam w Harlemie, czyli zasadniczo na drugim końcu miasta od wszystkiego, co mnie interesuje). Dlatego w ogóle jestem w tym wagonie: nowy sezon, nowa dziewczyna, nowy start. Nowy ja.

Cóż... według wszystkich innych to *stary* ja. „JJ — Jump-Jump” Harding, czyli Skaczący Harding. (Niby „JJ” oznacza „Jacorey Junior”, ale nieźle pasuje, czyż nie?).

Czy kiedykolwiek zdradzę komuś, że *nie czuję* już tego życia w podskokach? I że życie, w którym koszykówka stanowi kluczowy element mojej ścieżki/sens mojego życia/jest jedyną rzeczą, na jaką czekam, w pewnym sensie mi... *spowszedniało*? Może nawet stało się trochę nużące?

Na pewno nie wcześniej niż wyznam, że moim zdaniem kobiety powinny móc karmić dzieci bez przykrywania ich materiałem, od którego robi im się gorąco.

À propos gorąca, może to tylko ja, ale mam wrażenie, że w wagonie zaczyna się robić parno.

Teraz to *ja* biorę głęboki oddech. Po raz kolejny zerkam na Tremaine’a. Nadal ma zamknięte oczy i nadal hardkorowo oddycha, tyle że teraz skaczą mu już obie stopy. Na zmianę, jak pałeczki na werblu. Mam ochotę sprawdzić, co u niego, ale po tym, co stało się kilka miesięcy temu... kurna, sam nie wiem.

Podejrzewam, że jedzie na tę samą imprezę co ja. Didżejować ma były chłopak jego starszej siostry, a słyszałem, że Tremaine robi mu zdjęcia „z akcji” na stronę i dostaje za to całkiem przyzwoity hajs. (No bo z jakiego *imnego* powodu miałby jeździć za byłym chłopakiem siostry z aparatem?).

Zerkam na te jego biało-biało-białe jordany, po czym zamykam oczy i opieram głowę na mapie połączeń za mną. Wydaje mi się to wręcz świętokradztwem po dzisiejszej wizycie u fryzjera. Mam ochotę włączyć latarkę *swojego* telefonu i skierować ją na głowę, żeby ludzie mogli przynajmniej zobaczyć cuda, jakich dokonał ten mistrz nożyczek.

Myślę o klatce piersiowej Tremaine'a i próbuję dostosować oddech do jego rytmu.

Wdech przez nos. Wydech przez usta.

Jego buty wypełniają moje myśli.

W pewnym momencie będę musiał przestać wszystko uciszać.

Dwanaście minut.

Kłamałem wcześniej.

O tym, że „zero zainteresowania”.

Cóż... to nieprawda. Całkowita.

Zawsze chciałem, żeby tak było, ale jeśli mam być szczery — a tylko to *mogę* robić w tym ciemnym wagonie, w którym nie mam żadnego towarzystwa prócz myśli zwykle topionych w nawale spraw do załatwienia — od tamtego dnia w szatni te wszystkie lata temu „zero zainteresowania” było niemożliwe.

W pewnym sensie tego nienawidzę. Nie tylko dlatego, że wiem i zawsze wiedziałem, co to „oznacza” (choć przyznanie się do tego przed kimkolwiek włącznie z samym sobą było granicą, jakiej jeszcze nie przekroczyłem), lecz także dlatego, że nie jestem jedynym, który *interesował się* tym ziomkiem. Koles mógł mieć praktycznie każdego, kogo chciał. W całym *spektrum gender*, jak określiła to moja młodsza siostra Jordy.

Nie wiem tego na pewno, bo nigdy nie pozwoliłem sobie znaleźć się tak blisko niego, żeby to potwierdzić, ale wydaje mi się, że jesteśmy podobnego wzrostu. Obaj mamy po metr dziewięćdziesiąt. Możliwe, że on jest nawet o parę centymetrów wyższy.

Nie można też powiedzieć, że jest chudziwą. To najdziwniejsze. Jest równie dobrze zbudowany jak połowa moich kolegów z drużyny. Szczerze powiedziawszy to jedna z rzeczy, które mnie dręczą. Nikt nie mówi tego na głos, ale wszyscy wiemy, że ludzie oczekują od takich gości, jak ja i Tremaine — wysokich, dobrze

zbudowanych i z określonych grup etnicznych (przewracam teraz oczami naprawdę mocno) — że będą sportowcami. I już. Masz dłonie nadające się do rzucania i łapania różnego rodzaju sportowych piłek (kolejna mądrość mojej młodszej siostry). Do licha, ojciec po raz pierwszy włożył mi do rąk piłkę do kosza, gdy miałem cztery lata.

Tyle że Tremaine zawsze zdawał się nie przejmować całą tą kwestią *oczekiwań*. Pamiętam, jak kiedyś na korytarzu szkolnym usłyszałem mojego kolegę z drużyny, który powiedział do Tremaine'a:

— Tragiczne, że facet z twoim wzrostem i posturą woli latać z aparatem niż z piłką.

Zaskoczyło mnie to, jak bardzo miałem ochotę przywalić koleździe w nos, ale Tremaine tylko się uśmiechnął i odparł:

— Ktoś musi zrobić zdjęcie na twój przyszły poster, brachu.

Głupawy kolega nie był w stanie wymyślić na to żadnej odpowiedzi. Stał z otwartymi ustami i wyglądał, jakby doświadczył czegoś nadprzyrodzonego.

Rozmyślałem o tym głównie przez całe *tygodnie*.

Sam nie wiem. Jakaś częśćka mnie chciałaby być tak... stabilna, jak Tremaine zdaje się być. Komfortowa z *samym sobą* czy jakkolwiek to wyrazić. Śmiać mi się chce z tego, że jestem jednym z dziesięciu najlepszych młodych koszykarzy w stanie, a mimo to nieustannie mam wrażenie, jakby to wszystko było ściemą. Jakby w każdej chwili ktoś miał odkryć *prawdziwego* mnie. Zastanawiam się wtedy, dlaczego miałyby to stanowić problem.

A Tremaine? Ludzie opowiadają o nim *najróżniejsze* dziwne historie — krążą plotki, że „rozdziwiczyl” rozgrywającego *oraz* jego dziewczynę — na nim jednak zdaje się nie robić to wrażenia. Jest tylko on i jego aparat. Koleś jest zawsze diabelnie czysty (jego garderoba jest nieskazitelna) i wyluzowany. Dokumentuje różne gówna.

Zazwyczaj.

W tej chwili jego klatka piersiowa unosi się nieco szybciej niż przed chwilą i chociaż czuję się z tym głupio, wzbudza to moje obawy.

Wzbiera we mnie chęć, by podejść i sprawdzić, czy wszystko okej...

Tyle że od lat nie nawiązałem z nim żadnego *realnego* kontaktu. Jak by to wyglądało, gdybym podszedł do niego w ciemnym wagonie w trakcie zaniku prądu, nagle *zatroskany* niczym najlepszy przyjaciel czy coś w tym stylu?

Koleś spojrzalby na mnie jak na kogoś z obcej planety.

Czyż nie?

Owszem, półgębkiem potwierdziłem „sojusz”, jak nazwała to Jordy, i pomogłem Tremaine’owi w szóstej klasie. I owszem, *jeśli* nadal ma tę swoją klaustrofobię, istnieje szansa, że teraz wychodzi z siebie uwięziony w tym wąskim wagonie.

Ale co, jeśli się mylę?

Co, jeśli jest wściekły, że praktycznie nie odezwałem się do niego od tamtego czasu?

Co, jeśli źle to zrozumie?

Jego lśniące białe buty znowu przykuły moją uwagę.

A co, jeśli zrozumie to *dobrze*?

Osiemnaście minut.

Ludzie zaczynają się niecierpliwić.

Para koleśki to zdecydowanie *para*. Jeden trzyma w ramionach drugiego, który ma zamknięte oczy. Kojarzy mi się to trochę z tym, jak ojcowie Langstona siedzieli blisko siebie na naszych meczach i kibicowali swojemu dzieciakowi, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. I w sumie... zasadniczo była, czyż nie? Moi starzy przychodzili na nasze mecze i też się do siebie kleili. Dlaczego rodzice Langa mieliby tego nie robić?

*Dlaczego mam taki problem z tym głównem?*

W każdym razie hipsterski ziomek z rowerem siedzi już *na* swoim dwukołowym rumaku ze stopami na pedałach i wygląda, jakby był gotów wyparzyć z wagonu, gdy tylko otworzą się drzwi.

Baletnice kulą się razem.

Dziecko kima (jak zakładam) w wózku, ale mama wygląda na piekielnie wykończoną. Kołyszę wózkiem tam i z powrotem, jakby *to ona* miała wybuchnąć płaczem, gdy choć na chwilę przestanie.

A Tremaine... cóż, nie udało mi się podnieść wzroku powyżej jego stóp.

Żałuję, że nie ma tu zasięgu. Coś jeszcze o mojej siostrze: wie o mnie rzeczy, o jakich nikt inny nie ma pojęcia. Intuicyjnie. Nie potwierdziłem ani nie zaprzeczyłem żadnej z jej spekulacji, ostatnio jednak zaczęła rzucać komentarze sugerujące, że ma pewne *wyobrażenie* na mój temat. Na przykład w marcu pytała mnie o „baldowe plany”.

— To co zrobisz, starszy bracie?

— Chodzi ci o to, którą dziewczynę zaproszę?

— Lub chłopaka — dopowiada ze wzruszeniem ramion. — W końcu mamy już za sobą dwie dekady dwudziestego pierwszego wieku.

W kwietniu podbiła do mnie z głupia frant, gdy zdarzyło nam się razem odrabiać zadanie przy stole kuchennym.

— Wiesz co, JJ? — spytała, spoglądając na mnie znad okularów w stylu Malcolma X, w których wygląda zabójczo. — Nie mogę się doczekać dnia, gdy przyprowadzisz do domu swoją miłość. (Która czternastolatka w ogóle tak się wyraża?).

— Jordy, o czym ty gadasz? — spytałem.

— Myślę, że byłbyś świetnym partnerem dla kogoś.

— Chcesz, żebym znalazł sobie dziewczynę?

Wzruszyła ramionami (ech, to jej wzruszanie).

— Albo chłopaka. Obojętne. Mama i tato też na pewno będą wniebowzięci. Więc przestań się ociążać jak dwutonowy jamnik.

Ona też jako pierwsza zauważyła moją równię pochyłą pod koniec sezonu... i zwróciła mi na to uwagę.

— Masz w sobie *smutek*, Jacoreyu Juniorze — powiedziała kiedyś przy śniadaniu. — I wiem, że coś się stało. Powinieneś po prostu się... ujawnić.

— *Że co?*

— Z TYM. Powinieneś się ujawnić Z TYM. Co cię *dręczy*, wiesz.

— Nie wiem, o czym mówisz, stara.

Ale rzecz jasna wiedziałem. Dobrze. O czym ona mówiła.

Nie żeby wiedziała *o tym*, że nawet z zamkniętymi oczami nadal widziałem buty Tremaine'a. Bo wryły mi się w pamięć.

I odmierzając kolejne minuty w tym czymś, co coraz bardziej kojarzyło mi się z gigantyczną trumną ze stali — bo tak w sumie wyglądają wagony, czyż nie? — żałowałem, że nie mogę zadzwonić do Jordy. Mogłem wtedy jej to *powiedzieć*.

Bo miała rację. Coś się stało.

Dwadzieścia dwie minuty.

Znowu skłamałem. O braku „jakiegokolwiek realnego kontaktu z Tremaine'em od wielu lat”.

Po raz kolejny zerkam ukradkiem na parę koleśi. Teraz obaj się do siebie tulą z zamkniętymi oczami.

Zamykam z powrotem swoje.

Naprawdę źle zaczęło się robić w styczniu. Byłem jakby smutny. Nie w związku z czymś szczególnym. Taki ogólny smutek. Wpadałem w niewielką chandrę co zimę — o czym nie wiedział nikt poza Jordy. Trenerzy mieli na temat „doła” podobne zdanie, co na temat *strachu*. Prawdziwe zaufanie.

W każdym razie zaliczyłem strasznie okropny mecz: kilka upomnień za kroki, niepotrzebne naruszenie czasu, potknięcie o powietrze w trakcie przemierzania boiska i rozwalenie wargi, niemożność zatopienia piłki w koszu, żeby uratować swoją skórę, i cztery faule w pierwszej połowie.

Byłem po prostu... wytrącony z formy.

Na tyle, że trener posadził mnie na ławce.

Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło. Brzmi to pewnie jak dramatyzowanie, ale z każdym współczującym spojrzeniem i klepieniem w plecy ze słowami: „Nie martw się, JJ, wrócisz w następnym meczu” czułem, jakbym zapadał się coraz niżej i niżej. Niczym koleś wyrzucony za burtę w betonowych butach.

Po powrocie do domu poszedłem prosto do swojego pokoju i zamknąłem za sobą drzwi na klucz. Zacząłem szukać w internecie, eee... *treści*, po jakie zazwyczaj sięgałem, gdy chciałem się odciąć. Trafiłem na coś innego, niż to, czego zwykle szukałem. (Rozmyślając o tej sekwencji zdarzeń, mam ochotę znowu spojrzeć na parę koleś. Bo... no.).

Nie żeby nie podobało mi się to, co zobaczyłem, ale... ktoś mi przerwał. Ojciec. Zapukał do drzwi i spytał, czy wszystko w porządku. Mimo że nic nie zobaczył, zażenowało mnie to do tego stopnia, że przez tydzień nie dotykałem tabletu.

Teraz *naprawdę* spoglądam po raz kolejny na parę koleś.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że prawdopodobnie Jordy ma rację: nasi starzy — w tym ojciec — nie mieliby problemu ze mną... i akceptacją lubianej przeze mnie osoby, kimkolwiek by była. On i mama poznali się na pieprzonym występie drag queen. Występował jej najlepszy przyjaciel z koledżu, a ojciec był bramkarzem w tym klubie. Nigdy nie poznałem tego przyjaciela, bo przeprowadził się do Atlanty przed moimi narodzinami, ale z tego, co zrozumiałem, *to on* spiknął ze sobą mamę i tatę.



Nadal jednak nie potrafiłem się otrząsnąć ze strachu przed zde-maskowaniem. Słyszałem historie o tym, że taki koleś jak ja został przyłapany na oglądaniu pewnych gówni i nagle jego ziomki, z którymi non stop się bujał z racji uprawianego sportu, tracili ochotę na jego towarzystwo.

Tyle że ja nadal byłem wytrącony. Bo zacząłem mieć te... sny. O sobie. I indywidualach takich jak ja. O sobie z indywidualami takimi jak ja.

Znaczący, facetami.

Potem przyszedł luty. Znalazłem wtedy i zarejestrowałem się (pod wymyślonym nazwiskiem, oczywiście) na stronie, na której znajdowały się informacje o imprezach w różnych zakątkach miasta dla facetów lubiących facetów. Przeglądałem je bez najmniejszego zamiaru wybrania się na którąkolwiek z nich i kasowałem historię po zakończeniu, pewnego razu jednak trafiłem na party, które miało się odbyć dzień po moich osiemnastych urodzinach. Party maskowe.

Wylogowałem się.

Nadeszły moje urodziny i koledzy z drużyny zorganizowali mi *solidną* balangę. Ojciec środkowego był właścicielem klubu w mieście i zorganizowali w nim dla mnie wszelkie możliwe atrakcje. Wyrąbistego didżeja, piękne dziewczęta, gdzie okiem sięgnąć. Jednej z nich z innej szkoły, Shelley jej było na imię, naprawdę się spodobałem. Zagoniła mnie tańcem w kąt i zaczęła całować po szyi.

Odwzajemniłem pocałunki. Świetnie całowała, obiektywnie rzecz ujmując, i gdy posunęła sprawy dalej, poszedłem za tym. Ale byliśmy w klubie. W pewnym punkcie musieliśmy więc przerwać.

Najdziwniejsze było to... że poczułem ulgę. Że nie posuniemy się dalej niż do pewnego punktu. Dała mi swój numer i powiedziała, żebym zadzwonił.

— Wpadnij i dokończymy to, co zaczęliśmy — obiecała. Moi kumple wpadli oczywiście w ekstazę.

— Stary, przyszpiliłeś najlepszą dziewczynę z Bed-Stuy Prep!

Ale ja wiedziałem, że nigdy nie użyję tych cyferek. Więc je skasowałem.

Następnego wieczoru znalazłem się w metrze ze smokiem w torbie sportowej.

I z maską.

Dwadzieścia siedem minut w tym wagonie.

O 22:29 dotarłem do budynku po drugiej stronie od adresu tej przebieganej imprezy. Był w nim tonący w ciemnościach zakamarek, w którym mogłem się ukryć.

Przebrałem się w łazience w Herald Square, ale na wierzch narzuciłem obszerny płaszcz, żeby nikt nie zobaczył smokingu pod spodem. Budynek wyglądał podejrzanie jak diabli. Czteropiętrowa konstrukcja z cegieł w Bowery z chińskim jedzeniem na parterze. Zaproszenie mówiło, żeby wejść do środka, powiedzieć hasło sobie za ladą i pozwolić się zaprowadzić tam, gdzie trzeba.

Czułem się jak stuprocentowy idiota.

Co, jeśli to jakaś pułapka? Może pakuję się w jakąś sektę? Może ktoś mnie zamorduje? Moi rodzice — którzy myśleli, że wybrałem się do domu kolegi z zespołu — ostrzegali mnie przed takim gównem, a mimo to stałem po drugiej stronie ulicy naprzeciw podejrzanego budynku dosłownie na drugim końcu miasta od mojego ciepłego i przytulnego łóżeczka w Harlemie. Tylko Bóg wiedział, jaki straszliwy los mnie tam czeka.

Wtedy zauważyłem kolesia zbliżającego się do restauracji od mojej lewej.

Też miał na sobie płaszcz, a do tego czapkę mocno nasuniętą na oczy. Rozpoznałbym jednak ten chód — i te buty — chyba wszędzie.

Tuż przed drzwiami ściągnął czapkę i przez moment mignęła mi twarz Tremaine'a Wrighta, gdy wkładał maskę. Potem wszedł do środka, a ja obserwowałem przez szerokie okno wystawowe, jak macha do kobiety za ladą, a ona wita go skinieniem głowy i uśmiechem, po czym prowadzi go w jakiś ciemny korytarz, gdzie zwykle znajdują się łazienki.

Szybko przeszedłem na drugą stronę.

Podobnie jak Tremaine założyłem maskę przed wejściem. Była to zakrywająca całą twarz maska Czarnej Pantery. Nie zamierzałem ryzykować, że ktoś mnie rozpozna.

Okazało się, że nie potrzebuję hasła.

— W głąb korytarza, drzwi na końcu po lewej — powiedziała kobieta, nie odrywając wzroku od tego, czym się zajmowała.

Podążyłem za jej wskazówkami. W tym momencie byłem zbyt zaciekawiony, żeby się wycofać. Otwarłem wskazane drzwi, zszedłem po schodach i trafiłem na coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem: facetów w smokingach o różnych barwach i krojach, noszących najprzeróżniejsze maski.

Uderzyło mnie jednocześnie kilka „wrażen”, jak określa to Jordy. Była wśród nich odrobina strachu, przyznaję. Nadal niespecjalnie uśmiechało mi się bycie rozpoznanym. Pojawiło się też jednak wrażenie... że nie jestem sam. Nie mógłbym tego nazwać *poczuciem przynależności*, bo z całą pewnością wciąż byłem (*i jestem*) na drodze do odkrycia siebie. Ale wejście do tego pomieszczenia — z dudniącą muzyką, pełnego gawędzących ze sobą koleśi, z których każdy na swój sposób wyglądał zabójczo — naprawdę otworzyło coś w moim sercu, jakkolwiek patetycznie to nie brzmi.

Pierwsza zabawna obserwacja tamtego wieczoru: jedyną osobą bez maski był didżej. Którego rozpoznałem. Nie wiem, jak się naprawdę nazywa, ale wszyscy mówią o nim Twig (czyli „gałązka”

— zdaje się, że lubi tę postać drzewa z filmów o superbohaterach, która przemierza wszechświat z zieloną panią i gadającym szopem).

Znałem go, bo był didżejem na mojej imprezie urodzinowej dzień wcześniej.

Wiedziałem, że w takich okolicznościach na pewno nie zdejmę *swojej* maski.

Odniosłem jednak wrażenie, że nikt nie ma zamiaru tego robić. Maski były różne, niektóre zakrywały tylko oczy, inne całą twarz. Jeden koleś w niebieskim smokingu we wzór typu paisley miał na sobie aksamitną połowiczną maskę z piórkami. Inny, cały w czerni, miał maskę rodem z *Upióra w operze*. Jeszcze inny, ubrany na czerwono, nosił maskę w stylu dworskiego błazna.

Otaczali mnie wyłącznie podobni do mnie ludzie, wystrojeni i w maskach.

Niektórzy byli pogrążeni w konwersacjach. Niektórzy mieli napoje w dłoniach. Nieliczni wyglądali żałośnie, sprawdzając coś w telefonach.

Zasadniczo wyglądało to tak samo, jak na imprezach w szkole średniej.

Pomyślałem, że sam też musiałem wyglądać dość żałośnie.

— Pierwszy raz? — spytał ktoś po prawej. Odwróciłem się i zobaczyłem koleś w sprawiającym wrażenie satynowego morskim smokingu i w masce upstrzonej piórami pawia.

Trzeba przyznać, że się nie patyczkował.

— Ekhm... To widać? — odparłem pytaniem.

— Podoba mi się twój styl — ciągnął, otaksowując mnie spojrzeniem. — Bardzo klasyczny. Maski też idealnie pasuje. Zachwycająco przesadna. Wyglądasz jak facet, który wie, czego chce.

Uśmiechnął się, odsłaniając nierówne zęby.

Musiałem się zmyć.

— Dzięki — odparłem. — Przyjemnie tu. — Po tych słowach odwróciłem się, żeby odejść, ale koleś złapał mnie za ramię.

— Oj, nie zgrywaj nieśmiałego — powiedział, nachylając się bardzo blisko i muskając moje ucho swoim gorącym oddechem. — Wszyscy przyszliśmy tu po to samo...

Już miałem się zamachnąć i powalić tę jego pawią dupę na podłogę, gdy dobiegł mnie inny głos, któremu towarzyszyło dotknięcie mojego ramienia.

— A, *tu* jesteś — oznajmił. — Wszędzie cię szukam.

— Eee... — Zanim jednak wymyśliłem, jak wyeliminować *obu* koleśki *oraz* jak się zmyć, żeby nie utknąć na tej pieprzonej imprezie, przypadkiem zerknąłem w dół. I zobaczyłem parę biało-biało-białych jordanów 1s.

Zamarłem.

— Najmocniej przepraszam — powiedział Nachalny Paw, takując Tremaine'a tak samo, jak wcześniej mnie. — Nie wiedziałem, że on jest zajęty.

*Czy Tremaine wiedział, że to ja?* Miał na sobie ciemnoszary smoking z marynarką bez klap. Jego strój był diaaaabelnie czysty, a prosta czarna maska zakrywała przestrzeń między brwiami i nosem. Skojarzył mi się z tym gościem ze szpadą, gwiazdorem uwielbianych przez mojego ojca filmów o Zorro. Jego stylówka sprawiła, że mój żołądek wykonał jakieś dziwne nurkowanie.

— W porządku, stary — odparł Tremaine. — Zabójczy outfit, nawiasem mówiąc. Chodź, bejbi. — Wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Byłem zbyt oniemiały, żeby zrobić cokolwiek poza pójściem z nim. (*Ale że bejbi?*).

Gdy dotarliśmy do pustego wysokiego stolika z tyłu pomieszczenia, puścił mnie.

— Wielkie sorry za to — powiedział, potrząsając głową. — Zwykle nie biorę ludzi za rękę, gdy nie znam nawet ich imienia, ale ten koleś to pierwszej klasy oblech, a ty *wyraźnie* jesteś tu nowy. Jestem Tremaine.

Potwierdzenie.

Dziwnie było widzieć go bez aparatu. Zwaliło mnie też z nóg to, że przedstawił się prawdziwym imieniem.

Gardło mi się zacisnęło. *Jakim cudem* ten koleś mógł być tak pewny tego, co robi? Czy *ja* kiedykolwiek dojdę do tego punktu?

Nachylił się bliżej.

— A ty?

— Oj... eee... jestem Tobias.

Czekałem, aż wybuchnie śmiechem lub powie, że chrzańię. Na jakiś znak, że tak naprawdę dobrze wie, kim jestem.

Nie doczekałem się.

— T i T! — stwierdził, wskazując na swój tors, a potem na mnie. — Ładnie!

Rozbawiło mnie to. I trochę rozluźniło... chociaż nie na tyle, na ile bym sobie życzył, biorąc pod uwagę dręczące mnie poczucie winy, że skłamałem mu prosto w twarz (czy raczej w maskę).

Dość dziwnie myśleć o tym teraz.

— Opowiedz mi coś o sobie, *Tobias*.

Podkreślił to imię, jakby było nieco podejrzanе, ale odrzuciłem tę myśl.

— A co chcesz wiedzieć?

Wzruszył ramionami.

— Masz jakieś hobby?

— O, to proste: koszykówka.

Natychmiast tego pożałowałem.

Ziomek nie wypadł jednak nawet na moment z roli.

— A. Sportowiec.

Znowu się zaśmiałem.

— Czemu mówisz to takim tonem?

— Nie spotkasz tu zbyt wielu sportowców. — Przeskanowałem wzrokiem pomieszczenie i ja zrobiłem to samo. — I domyślałem się, że w swoim sporcie nie spotykasz zbyt wielu takich gości, jak ci tutaj. Czujesz się z tym niekomfortowo?

— Eee... — Postanowiłem wyznać prawdę. — Tak, trochę. Tak między nami, nie jestem pewien, czy moi koledzy ucieszyliby się, gdyby dowiedzieli się, że tu jestem. — Uświadomiłem sobie, jak beznadziejnie to brzmi, dopiero gdy słowa już wyszły z moich ust. Nie wiedziałem jednak, jak miałbym je cofnąć. — A ty, ee... często tu bywasz? — spytałem, próbując zmienić temat.

— Często to za dużo powiedziane. Te imprezy są organizowane co tydzień, ale ja jestem tu dopiero trzeci raz. To interesujące miejsce do obserwacji ludzi.

— Obserwacji ludzi?

— Tak. Mam zajawkę na punkcie fotografii i uwielbiam studiować ludzi nawet wtedy, gdy nie mam przy sobie aparatu.

— Ile masz lat, jeśli można zapytać? — spytałem z ciekawości, czy powie prawdę.

— W grudniu skończyłem siedemnaście. — Nachylił się bliżej. — Nie mów nikomu, ale wpuszczają mnie tylko dlatego, że znam didżeja. Fotografowałem sporo jego setów. Teoretycznie powinienem mieć osiemnaście lat. A już z całą pewnością musisz uważać na ludzi udających kogoś, kim nie są.

Powiedział to, patrząc mi prosto w oczy, i przysięgam, że przestałem oddychać.

Potem jednak dokończył pytaniem:

— A ty... ile masz lat?

— Ja? Ee... dziewiętnaście. Pierwszy rok w koledżu. Cóż... za niedługo drugi.

— Mówisz to szczerze? — I puścił mi oczko.

Gdyby tylko dało się teleportować z tego miejsca.

Domyślam się, że moje milczenie było wymowne, bo dodał po chwili:

— Drocę się tylko z tobą. Co studiujesz?

— Ekhm... inżynierię mechaniczną. Ale rozważam zmianę głównego kierunku.

(*Wiem, że brzmiało to strasznie nedorzecznie. Nie rozumiem, dlaczego ten koleś nadal chciał ze mną rozmawiać.*)

— *Inteligentny* sportowiec! Podwójne uderzenie. — I obdarzył mnie uśmiechem, po którym dziewczyny na korytarzach szkolnych robiły maślane oczy i rozdziawiały buzie. Nie będę kłamał: wymierzony we mnie demonstrował zasadność tych reakcji.

Od tego momentu spora część wieczoru tonie we mgle. Po kilku minutach wszedłem w coś w rodzaju wymarzonej wersji siebie: otwarcie biseksualnego studenta rozpoczynającego drugi rok nauki w City College z bogatym życiem na kampusie, które uwzględniało działanie w radzie studentów, grę w studenckiej drużynie koszykarskiej i członkostwo w bractwie Alpha Phi Alpha.

Tremaine był szalenie dobrym rozmówcą. Im dłużej gadaliśmy, tym więcej zdradzałem szczegółów ze swojego *prawdziwego* życia. Wyznałem, że czuję się zagubiony, bo chociaż wiedziałem, że są *nieliczne* dziewczyny, które mnie pociągają, byłem prawie pewien, że podobają mi się także chłopcy. (Na co odparł: „Mam tak samo. Nie pozwól, by ktokolwiek wmówił ci, że twoje uczucia są złe. To, że pociągają mnie po prostu *ludzie*, wiedziałem od drugiej klasy. Zdziwiłbyś się, jaką wściekłość wzbudza w niektórych osobach to, że nie mogą cię zaszufłdkować”).



Opowiedziałem mu o mojej Jordy. („Zdaje się niesamowita. Nie ma jak wsparcie najbliższej rodziny”).

Opowiedziałem mu o trenerach. („ABC toksycznej męskości, mój drogi”).

I opowiedziałem mu o nerwowości związanej z tym, że niczego nie wiem *na pewno*. („Witaj w klubie. I nie mówię tu o tym stukniętym przyjęciu”).

*Tak bardzo* się przy nim wyluzowałem, że gdy spytał, czy się z kimś spotykam, student *Tobias* odparł:

— Cóż, zgodnie z tym, co powiedziałeś Pawiowi, spotykam się z tobą.

Obaj się z tego zaśmialiśmy i wróciliśmy do gadania.

Rozmawialiśmy o naszych rodzinach: stwierdził, że najbardziej lubi starszą siostrę Tammi, chociaż jego ojciec Sean, kierowca autobusu objazdowego, jest na bliskim drugim miejscu. Opowiedziałem mu, jak poznali się moi rodzice, a on opowiedział mi o swoich. Jego mama Camille była fotografką stażystką z Virginii. Zgubiła się w mieście i postanowiła wsiąść do autobusu objazdowego. Wkrótce dojechali do Flatiron Building, a jej miejsce pracy znajdowało się dokładnie naprzeciw tego budynku... Podeszła do kierowcy i poprosiła, by ją wysadził, ale ta objazdowa wycieczka nie miała przystanków, więc odmówił. Nie odpuszczała, więc gdy w końcu na nią spojrział, tak rozproszyła go jej uroda, że wjechał w tył taksówki przed nimi.

— Trzeci dzień w pracy — powiedział Tremaine. — Od razu wyleciał.

Mówiliśmy też o jedzeniu. Tremaine był w połowie Jamajczykiem, ale uwielbiał ramen i koreańskiego grilla. Mój dziadek pochodził z Georgii, więc snułem prawdziwe poematy o miłości do kuchni czarnoskórych ludzi z południa.

Rozmawialiśmy o znajomych: wyznał, że chociaż zna wiele osób, które się nim „interesują”, nigdy nie miał bliskich przyjaciół, zwłaszcza wśród facetów. Miał nadzieję, że to się zmieni, gdy pójdzie na studia. Ja mu powiedziałem, że chociaż *mam* bliskich przyjaciół — z których większość rekrutowała się z drużyny — bałem się ich reakcji na to, że nie jestem hetero.

— Słyszałem, że sportowcy potrafią być mocno homofobiczni — skwitował to.

Wyznałem mu, że wydaje się czuć komfortowo w swojej skórze i że sam nie jestem pewien, czy kiedykolwiek osiągnę taki stan. Na co zapewnił *mnie*, że nie zawsze taki jest i że z całą pewnością ma chwile zwątpienia.

— Rzecz w tym jednak, że jeśli ja nie będę kochał i akceptował *siebie* takiego, jakim jestem, na jakiej podstawie miałbym oczekiwać, by ktokolwiek inny mnie kochał i akceptował?

Trafna obserwacja, trzeba przyznać.

Nagle spojrzął na zegarek i stwierdził, że musi się zbierać, żeby zdążyć przed godziną policyjną.

Wiedziałem, że nie mogę go odprowadzić. To byłoby zbyt ryzykowne.

Oznajmiłem więc, że miło się z nim rozmawiało (za kogo ja się u licha *uwazałem*, co?) i że mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Przymrużył powieki i przez *mgnienie oka* kąciaki jego ust opadły, pozbierał się jednak tak szybko, że gdybym o tym wspomniał, wyszłoby, że nie spuszcza z niego oka.

— Ta, stary, absolutnie — odparł. — To do zobaczenia kiedyś.

Ale gdy odwrócił się, by odejść, zrobiłem coś, w co nadal nie potrafiłem uwierzyć.

— Hej, Tremaine — zawołałem go i chwyciłem go za ramię. Odwrócił się z powrotem i wtedy uniosłem dół swojej maski, zbliżyłem się do niego... i pocałowałem go prosto w usta.

— Okej, w takim razie — powiedział, gdy się rozdzieliliśmy (czyli po... jakimś czasie).

Miałem wrażenie, jakbyśmy milczeli przez osiemdziesiąt trzy minuty, chociaż było to tylko kilka niezręcznych sekund.

— Powinieneś, eee... właściwie już iść, he? — spytałem, żeby przerwać kłującą ciszę. I pewnie także dlatego, że kotłowało się we mnie zbyt wiele rzeczy na raz. Szok z powodu mojej śmiałości; poczucie winy, bo nie spytałem o zgodę na pocałunek (to muszę przyznać swoim rodzicom: naprawdę poważnie podchodzą do kwestii *przyzwolenia*); smutek, że wkrótce się rozstaniemy; ekscytację z zekłknięcia warg; strach przed tym, co owa ekscytacja potwierdzała na mój temat. Całując się z Tremaine'em czułem się *zupełnie* inaczej, niż całując się ze Shelley w poprzedni wieczór.

Przerażało mnie to.

— No... — przyznał. — Pewnie chyba powinienem...

Nagle usłyszałem głośne *tup* i zbiorowe westchnienie pasażerów metra, więc natychmiast otworzyłem oczy.

— O mój Boże, nic mu nie jest?

Rejestruję słowa wcześniej niż leżącego człowieka, ale gdy mój mózg w końcu łączy kropki między pustym siedzeniem Tremaine'a, a białobiałymi butami przytwierdzonymi do ciała na brudnej podłodze wagonu, zrywam się i podbiegam do niego, nie zastanawiając się nad tym, co robię.

— Joł, Tremaine! — Potrząsam jego ramię. Z paniki mam wilgotne dłonie i pachy... zupełnie jak w szóstej klasie.

Można by pomyśleć, że powinienem nauczyć się od tamtego czasu, jak pomagać kolesiom w tarapatach, prawda? Wstyd.

— Tremaine! — Potrząsam znowu. — Stary, wszystko w porządku?

Co za głupie pytanie.

Ale Tremaine wydaje z siebie jęk.

Dobry znak.

— Tremaine, to ja, JJ — mówię, odwracając go na plecy. — Wyciągnę cię stąd, ale gdybyś pomógł mi odrobinę, dając mi znak, że mnie słyszysz, byłoby naprawdę super.

Znowu jęk.

Wyprostowuję mu nogi i wracam do jego głowy. Zaczynam ją wachlować jak goście w filmach.

Zero pojęcia o tym, co *tak naprawdę* robię, nawiasem mówiąc.

Wydaje się jednak, że to działa. Tremaine powoli odwraca głowę na prawo, a potem na lewo. Gdy wraca do środka, otwiera oczy.

Moje serce wykonuje taniec na rurze, czy coś.

— Dzięki Bogu — mówię. To jest warte przeżegnania się. — Joł, możesz się w ogóle ruszyć? Chcę cię podnieść i wynieść z tego wagonu, ale jeśli mam to zrobić, musiałbym zaplanować...

— JJ? — pyta odurzonym i dezorientowanym głosem. (Do licha, wzbudza to we mnie przedziwną mieszankę sprzecznych emocji. Muszę unikać patrzenia na jego usta).

— Tak, stary. To ja.

— Co się stało? Gdzie jesteśmy? — Jego powieki znowu się zamykają.

— Nie, brachu. Musisz się ocknąć. Jesteśmy w metrze. Wyłączyli prąd i stoimy w tunelu od jakichś trzydziestu minut.

— Nie cierpię zamkniętych przestrzeni — stwierdza.

— Tyle to już wiem. *Potrzebuję* natomiast wiedzieć, czy twoim zdaniem możesz iść. Otworzę drzwi, a potem pomogę ci wstać i dasz mi znać, okej?

— Mhmm — potwierdza. *Cóż, mrużeniem.*

Błyskawicznie wyciągam klucze z kieszeni i otwieram mini scyzoryk w minimultinarzędziowym breloczku, żeby podważyć przykrywkę nad środkowymi drzwiami wagonu (dzięki Bogu jestem na tyle wysoki, żeby bez trudu tam sięgnąć). Na pewno większość osób nie zauważa jej przy wsiadaniu i wysiadaniu, ale mnie, gdy byłem mały, ojciec nauczył wydostawać się z *wszystkich* publicznych środków transportu na wypadek awaryjnej sytuacji.

On też kazał mi nosić to narzędzie.

Po otwarciu komory przerzucam dwa przełączniki — *kliknięcie* drzwi brzmi niemal jak muzyka — i angażuję całą swoją wagę w wypchnięcie drzwi.

Potem wracam do Tremaine'a.

— Słuchaj, podniosę cię za ramiona, żeby cię posadzić, a potem wsunę ręce pod twoje i obejmę cię w pasie, żeby postawić cię na nogi, okej?

Tym razem nie czekam na odpowiedź.

Gdy już go podnoszę — na marginesie: koleś jest *ciężki* — i obejmuję go w pasie, żeby stanął na nogach, pytam ponownie:

— Dasz radę iść?

Głowa opada mu na moje ramię. (Co mną dogłębnie wstrząsa).

— Tak. Ale nie sam.

— Trzymam cię — mówię. — Raczej będziemy musieli iść gęsiego, żeby wydostać się z tego tunelu, ale możesz oprzeć się na moich plecach.

Przesuwam się na jego prawy bok, nie wypuszczając go całkowicie. Zarzucam sobie jego ramiona na swoje i przechodzę przed niego. Ktoś włącza się do akcji i podaje mi *oba* nasze plecaki, a mi jakimś cudem udaje się je założyć z przodu — na szczęście nie są ciężkie. Tremaine opiera się ciężarem ciała na moich plecach i tak ruszamy w stronę otwartych drzwi.

Po paru sekundach jesteśmy na zewnątrz. Wiem, że część osób podąży za nami, ale skupiam się na tym, żebyśmy to *my* wydostali się na świeże powietrze.

Nie będę ściemniał: tunel metra *poza wagonem* jest naprawdę przerażający. Zdecydowanie żałuję tej fazy na horrory w szkole średniej. Słabiutka latarka telefonu niewiele pomaga.

Idziemy diaaaabelnie powoli, przez całą wieczność. Tremaine całym przodem przylega do moich pleców (to naprawdę *dużo*). Lewą dłoń przyciskam jego prawą rękę do swojego torsu, żeby prawą móc sobie świecić. Wagon dopiero co wyjechał ze stacji na Dzie-więćdziesiątej Szóstej Ulicy.

Staram się więc z całych sił skupić na napierającej na mnie jego masie i świadomości, że to ja muszę wydostać *go* z tej pieprzonej nory w ziemi. Jak za sprawą niezrozumiałej magii pomaga mi to poruszać stopami.

Wkrótce robi się więcej przestrzeni, co przynosi mi niezmierną ulgę.

— Może spróbuję trochę iść — mówi Tremaine, gdy już prawie jesteśmy na stacji. Ciężar na plecach się zmniejsza, a potem zupełnie znika, gdy Tremaine mnie puszcza.

— Na pewno?

— Tak. Też potrafię się do czegoś przydać. Daj mi tę torbę.

— Nie, stary, wyluzuj. Poradzę sobie.

— Czyli JJ Harding jest dżentelmenem, he? — Nie widzę wyrazu jego twarzy, ale cieszy mnie to, bo to oznacza, że on nie widzi mojego.

Prawdę powiedziawszy, nie zwracałem uwagi na to, w którą stronę zmierzamy, ale gdy w końcu docieramy do peronu, na którym jest chyba ciemniej niż w wagonie, mam wrażenie, jakby uleciała ze mnie cała energia.

— Joł, możemy tu chwilę odsapnąć?

Zanim Tremaine odpowiada, opieram się o ścianę i osuwam po niej jak skroplona para po kubku. Przypuszczalnie nie jest to najczystsza podłoga do siedzenia — zwłaszcza w moich nowych dżinsach — ale i tak nie byłbym w stanie się podnieść.

Czuję sadowiące się obok mnie ciało. Baaardzo blisko.

— W porządku, stary? — Głos Tremaine'a brzmi w tych ciemnościach nisko, ale głęboko. Słyszę, że na peron wchodzi następne osoby, które mówią coś o szukaniu wyjścia, ale nagie ramię Tremaine'a stykające się z moim wzbudza we mnie poczucie, że mogę tak po prostu... siedzieć.

— Przyznaję, bywało lepiej.

Śmieje się. Piętnaście minut temu nie przyznałbym się przed sobą do tego, jakie wywołuje to we mnie emocje, ale teraz? Gdy on jest tak blisko i czuję się bezpiecznie?

Niewiarygodne. Całe szczęście, że jest ciemno, bo przypuszczalnie próbowałbym zerkać na jego usta.

— Zdecydowanie się z tobą zgadzam w *tych* temacie — stwierdza. — Gdy metro się zatrzymało... Cóż, powiedzmy tylko, że wiedziałem, iż zmierzam w dół. Zamknięte przestrzenie to dla mnie coś nie do przejścia. Przebywanie w wagonie mi nie przeszkadza, ale pod warunkiem, że jedziemy. Ale postój? W *tunelu*? Klaustrofobia natychmiast się odezwała.

— Jak w szóstej klasie? — pytam.

— Tak, całkiem podobnie.

— Ja, eee... — Naprawdę mam zamiar to powiedzieć? — Widziałem, że sprawia ci to trudności. Sorry, że nie zareagowałem wcześniej.

— No wiesz, z *twoimi* dokonaniem... — Szturchnięcie mnie ramieniem. Mam wrażenie, jakby żołądek przymierzał się do wykonania wsadu z obrotem przez gardło.

Przełykam ślinę.

— Ale czujesz się już dobrze? — pytam.

— Och, no wiesz... Przed chwilą dosłownie zjechałem w wagonie pełnym nieznamych.

— Chyba dobrze, że żaden z nich nie mógł ci się dobrze przyjrzeć.

Znowu się śmieje.

To zbyt wiele, ziomek.

— Wiesz, muszę ci powiedzieć — zaczął — że pomijając bohaterstwo, nawet jeśli niechętnie je przejawiał, wyglądasz znacznie lepiej bez maski Czarnej Pantery.

Nie jestem w stanie wziąć oddechu, a co dopiero odpowiedzieć.

— Zauważyłem cię tamtego wieczoru na Herald Square. Wyszedłeś z łazienki w smokingu, całkiem niezłym, nawiasem mówiąc, a ja podążyłem w pewnej odległości za tobą. Wcześniej wsiałem do tej samej linii F, tylko że na drugi koniec. Zakładałem, czy raczej miałem nadzieję, że zmierzasz w to samo miejsce, co ja, chociaż wydawało mi się to niemożliwe. Skaczący Harding na imprezie w maskach dla queerów?

Nie będę kłamał: mimo tego wszystkiego, co mi wyznaje, nie potrafię powstrzymać uśmiechu po tym, jak wypowiedział mój przydomek. Nie umknęło mi też słowo *nadzieja*.

— Gdy wysiadłeś na Second Avenue, wbiło mnie w podłogę. Zostawiłem cię dopiero wtedy, gdy ukryłeś się w tym budynku po drugiej stronie ulicy, naprzeciw miejsca imprezy. Czekałem kilka minut, żeby zobaczyć, co zrobisz, ale w końcu wszedłem do środka z nadzieją, że podążysz za mną.

— I tak zrobiłem.

— Uhm.

Biorę głęboki oddech. Szczerłość przynosi swego rodzaju ulgę... lecz jest też irytująca, prawdę mówiąc.



— Czyli przez cały czas dobrze wiedziałeś, kim jestem.

— Jasne, że tak. I będę z tobą szczerzy, JJ — mówi. — Nieźle mnie wkurzyłeś. Podałem ci swoje *prawdziwe* imię z nadzieją, że zachęci cię to do tego samego. Ale nie zachęciło.

Cóż. I tyle z *mojej* irytacji.

— Biłem się z myślami przez całe tygodnie, TYGODNIE, JJ! Czułem do ciebie coś jeszcze *przed* tym całym zdarzeniem w szóstej klasie w szatni. Cieszyła mnie rozmowa z tobą i dowiadywanie się różnych rzeczy o twoim życiu. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy, ale w pewnym momencie podałeś prawdziwe imię swojej siostry.

— Cóż, niech to.

— Właśnie. Byłeś *sobą*... ale udawałeś, że nie jesteś. Nie wiedziałem, co z tym zrobić. Zwłaszcza że wiedziałeś, kim ja jestem. A ten pocałunek...

— Ten pocałunek — powtarzam bezwiednie, zanim zdążę się powstrzymać.

— Dokładnie — stwierdza. — Nie zrozum mnie źle: podobał mi się. Zresztą na pewno się domyśliłeś, bo niespecjalnie cię odpychałem.

Dobrze, że jest ciemno, bo zacząłem się szczerzyć jak przedszkolak, który dostał słoneczko za rysunek kredkami.

— Jednocześnie jednak nienawidziłem się za to, że w ogóle było mi przyjemnie, JJ. Okłamywałeś mnie przez cały czas *i* pocałowałeś mnie bez pytania o zgodę. Czułem się zagubiony.

— Przepraszam, Tremaine — wyznałem. — Naprawdę bardzo, bardzo, *bardzo* przepraszam.

Nie odpowiada, ja też nic nie dodaję, więc siedzimy w milczeniu. Sprawdzam telefon i ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że czterdzieści minut świecenia latarką nie wpłynęło zbytnio na baterię.

Zastanawiam się, czy nie uznać tego za swego rodzaju metaforę.

— Joł, to dlaczego nic nie powiedziałeś? — pytam go.

— Cóż, nie wiem — odpowiada. — Przez kilka tygodni zadawałem sobie to pytanie. Dlaczego po prostu cię nie zdemaskowałem? Nadal nie potrafię na to odpowiedzieć. Może... no cóż, rozumiem potrzebę czasu i przestrzeni, żeby zastanowić się nad sobą. Muszę jednak przyznać, że bazując na tym, co opowiadałeś o rodzicach, myślę, że twoja siostra ma rację, że przypuszczalnie będą cię wspierać.

Przytaknąłem.

— Wiesz, też do tego doszedłem, gdy wlekleśmy się tym tunelem, T. Tu nie chodzi o to, że moi rodzice mieliby problem z tym, kto mi się podoba. Bardziej chodzi o kosza. W NBA jest tylko jeden zawodnik, który otwarcie przyznał się do bycia gejem.

— Jason Collins — dopowiada.

Jestem pod wrażeniem.

— Właśnie. I owszem, otrzymał sporo wsparcia i w ogóle. Ale minęło już parę lat i nikt inny się nie ujawnił. Sport ma to swoje...

— Przerywam, bo nie wiem tak do końca, jakiego słowa użyć.

— Piętno — mówi.

*Chyba mogę odhaczyć punkt „dokańczanie moich wypowiedzi” na liście cech idealnego partnera.*

— Właśnie. Więc mimo że rodzice nie mieliby żadnych problemów z moją... orientacją — to chyba właściwe słowo — nie spodobałoby im się, gdybym przestał grać w kosza. W ich umysłach, podobnie jak w moim do niedawna, kosza to mój sposób na opłacenie chesnego. Mimo tego, że sam już nie wiem, czy *chcę* jeszcze grać, takie *wyjście z mroku* oznacza przypuszczalnie *w wejście w mrok* z moimi kolegami i trenerami, co z całą pewnością wpłynie na moją grę. Jestem pewien, że będą *demonstrować* wsparcie, bo nikt nie chce mieć etykietki homofoba. Ale to gównno sięga naprawdę głęboko, stary.

Tremaine wzdycha.

Milczymy przez kilka minut, a moje dylematy krzepną w otaczających nas ciemnościach. Nie mam pojęcia, co zrobię.

Muszę jednak przyznać, że poczułem, jakby ciężar na mojej piersi nieco zelżał. Świadomość, że *ktos* inny zna mój sekret i nie patrzy na mnie inaczej, jest... pomocna.

Małe krocзки, jak zgaduję.

— Jechałeś na tę imprezę w Brooklynie, na której Kareem jest didżejem? — pytam, żeby cokolwiek powiedzieć.

— No. Mam zrobić zdjęcia.

— Domyśliłem się. Ja też tam jechałem.

— Nie dziwi mnie to. — Słyszę uśmiech w jego głosie.

— To, ekhm... jak się tam teraz dostaniemy?

Spogląda na tabliczkę z nazwą stacji.

— W sumie *jesteśmy* blisko parku... — Odwraca się do mnie. — Na rowerach? Na pewno znajdziemy dwa miejskie. Owszem, przyjedziemy spoceni jak diabli, ale... przynajmniej się tam dostaniemy. Pasi?

— Jasne, że pasi — odpowiadam. — W sumie zapowiada się całkiem fajnie.

— Hej, JJ?

Szalone, jak bardzo rozkoszują się tymi dwiema literkami w jego ustach.

— Tak, Tremaine?

— Możemy się umówić, że już nigdy mnie tak nie okłamiesz?

Czuję się, jakbym dostał z kopa.

— Jasne, stary. Powtarzam: przepraszam.

— Wybaczam ci. Tym razem.

Śmieję się. To naprawdę miłe.

— Szanuję to.

— Jeśli chcesz znać prawdę, której nie radzę ci wykorzystywać przeciwko mnie: nie sądzę, żebym potrafił *naprawdę długo* się na ciebie gniewać.

— Wiesz, myślę, że ja też coś do ciebie czułem od tamtego dnia w szóstej klasie — przyznaję w końcu. — Chociaż, rzecz jasna, próbowałem to wyprzeć.

Teraz on się śmieje.

— Dobrze to słyszeć, stary.

Znowu zapadamy w milczenie, ale ciemność zaczyna mnie drażnić.

— Myślisz, że szybko włączą prąd? — pytam.

Nie odpowiada od razu, a ja nie naciskam. Po prostu... siedzę. Nie mam pojęcia, co będzie dalej ani co ze sobą zrobimy.

Odkrywam jednak, że w ogóle mnie to nie obchodzi. Nie w tej chwili.

W chwili, gdy uznaję, że nie doczekam się odpowiedzi, mówi:

— Nie wiem. Ale mam nadzieję, że szybko.

Nagle coś mi się przypomina.

— Czy ciemności wzbudzają twoją klaustrofobię? Może ci ja-  
koś pomóc?

Znowu się śmieje.

— Nie, to zupełnie nie tak — mówi i opiera się o mnie. Przysięgam, że gdyby *rozpływanie się* było realnym zjawiskiem, zmieniłbym się w tej chwili w kałużę. — Naprawdę nie czuję teraz żadnego lęku. Po prostu nie mogę się doczekać zobaczenia cię bez maski.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

Gdzie szukać światła,  
kiedy miasto  
spowijają ciemności?



ebook dostępny na:

**ebookpoint**

ISBN 978-83-283-8273-2



9 788328 382732

CENA: 39,90 zł

**beyA.**  
beyA.pl